



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Donat Poważński

Ze Słonimia do Kazachstanu

Zniewolone dzieciństwo

Wrzesień 1939 roku był wyjątkowo pogodny, a otulony „białym latem” kresowy Słonim żył spokojnym życiem. Miasto braci Ogińskich, położone malowniczo nad piękną rzeką Szczarą i kanałem Ogińskiego, w którym żyły zgodnie cztery narodowości – polska, żydowska, białoruska i tatarska – miał cztery kościoły: rzymskokatolicki, cerkiew prawosławną, synagogę żydowską oraz meczet tatarski. Splendoru miastu dodawały stacjonujące w Słoniemiu dwa pułki piechoty: 79 i 80.

Po śmierci ojca w 1936 roku matka – absolwentka Wyższej Szkoły Kupieckiej w Petersburgu – przystępuje do odbudowy drewnianego domu, który spłonął w 1936 roku. W roku 1938 cała moja rodzina, składająca się z pięciu osób, wprowadza się do nowego domu. Radość z własnego kąta trwała zbyt krótko, bo oto 17 września 1939 roku hordy bolszewickie dokonują najazdu na Słonim. Wkroczenie do Słonimia wojsk bolszewickich Polacy przyjmują ze zgrozą i bojaźnią. Niektóre grupy ludności żydowskiej i białoruskiej witały bolszewików chlebem i solą, – wykrzykując: „My was zdali 20 let”. (My was oczekiwaliśmy 20 lat).

Okupacja sowiecka rozpoczęła się aresztowaniami i sowietyzacją dzieci. Usiłowano dzieci odsunąć od Boga – głosząc hasła „Boh daj piróg” i „Sowiet daj kanfiet”. Oczywiście Pan Bóg pierogów nie dawał, za to Sowiet obdarowywał dzieciaki cukierkami, oczywiście w tego rodzaju spektaklach brały udział wyłącznie dzieci z rodzin białoruskich i żydowskich.

Początki roku 1940 stają się tragiczne dla mojej rodziny. Na początku kwietnia zostaje aresztowany 18-letni brat i wysłany do łagru w okolicach Wołody. 13 kwietnia w nocy enkawudzista z dwoma cywilami, prawdopodobnie nacjonalistami – białoruskimi i żydowskimi – dokonują rewizji w naszym domu i ogłaszają „Sabirajties”. Pojedziecie tam, gdzie wasz syn.

I oto rozpoczyna się nasza tułaczka z polskiego Słonimia do „sowieckiego raj”.

Dwa tygodnie minęły, gdy towarowy eszelon zatrzymał się na małej stacji kolejowej Pietuchowo w północnym Kazachstanie przed Pietropawłowskiem. Z 65 wagonów bydłowych wyległo na pobocze torowiska kilkuset polskich zesłańców – kobiet, dzieci i starców, wystraszonych i wygłodzonych – aby rozpocząć dalszą wędrówkę w nieznanym rejon.

Moją rodzinę – matkę, dwie starsze siostry i starszego brata – załadowano wraz z pięcioma rodzinami na rozklekotany „gruzawik” (samochód ciężarowy) i ruszono w nieznaną. Jechaliśmy kilka godzin przez stepy i lasy brzoźowe, w których miejscami jeszcze leżał śnieg, a był już początek maja

1940 roku. Wjechaliśmy do niewielkiego „pasiołka” o dziwacznej nazwie Sow-Ług. Ujrzałem dwa szeregi małych ziemianek, ledwie wystających z gruntu, z małutkimi oknami usytuowanymi przy samej ziemi. Pasiołek wyglądający dziwnie położony był dosyć malowniczo, bo dookoła rósł olbrzymi las ze smukłymi i białymi jak śnieg brzoźami. Enkawudzista, który nas eskortował, przedstawił przewodniczącemu kołchozu (był to kołchoz typowo rolniczy) przywiezionych polskich zesłańców i kazał zakwaterować wśród rodzin rosyjskich.

Zamieszkaliśmy w jednoizbowej ziemiance z kuchnią, w której był olbrzymi piec chlebowy, dostosowany również do spania. Równolegle do pieca była dobudowana drewniana prycza, służąca również do spania. Ściany i podłoga były wysmarowane gliną zmieszaną z krowim łajnem. Smród był niesamowity i nie do zniesienia.

Rodzina rosyjska składała się z czterech osób, a nas doszło pięć osób, więc można było sobie wyobrazić, jak w tak małym pomieszczeniu może przebywać dziewięć osób. Nie mieliśmy żadnego wpływu na to, aby warunki naszego pobytu zmienić na lepsze. Pomału rozlokowaliśmy się w tym dziwnym środowisku, ale każdy z nas był jakby zamurowany. Nie wiedzieliśmy po prostu, po co nas tu przywieziono i za co, i za kogo mamy cierpieć. Mając skończonych dziewięć lat i ukończoną jedną klasę szkoły powszechnej w Słonimie, nie zdawałem jeszcze sobie sprawy z tego wszystkiego, co się wokół dzieje. W pierwszej chwili nawet na myśl mi nie przychodziło, że w tych warunkach i w takim otoczeniu przyjdzie nam żyć. Od samego początku nie opuszczała nas nadzieja, że ten pobyt jest tymczasowy, że to wszystko nie będzie trwało długo. Ta myśl pozwalała nie rozpaczać nad zaistniałą sytuacją i prosić Boga o pomoc i przetrwanie.

Na nasz widok mieszkańcy kołchozu powychodzili ze swoich ziemianek i z ciekawością obserwowali nieznaną przybyszów. Byli poubierani w dziwaczne łachmany, a dzieci, przeważnie chłopcy, miały głowy ostrzyżone na zero. Dziwny to był widok, bo dotychczas nikt z nas w życiu nie przebywał w takim środowisku. Mówiono o nas: „bieżeńcy” (uciekiniery), „polskie pany” i wrogowie Sojusza. Większość z tubylców to analfabeci, a jedyną w kołchozie szkołę zamknięto, bo nie było nauczyciela.

Po krótkim zapoznaniu się z życiem kołchozu i jego mieszkańcami dostaliśmy prowiant w postaci chleba i słoniny. Mogliśmy wreszcie jako tako zaspokoić głód, bo żywność, którą mieliśmy w pociągu, już dawno się skończyła. Dzięki temu, że moja matka ukończyła w Petersburgu „Wyższe Kamierczewskoje Uczyliszcze” (Wyższa Szkoła Kupiecka) i знаła bardzo dobrze język rosyjski, mogła swobodnie prowadzić konwersacje z tutejszymi mieszkańcami i uzyskiwać wszelkie informacje na temat życia i pracy kołchoźników.

Pierwszy okres naszego pobytu przebiegał dość monotonicznie. Nasze przybycie do Sow-Łagu zbiegło się ze świętem pierwszego maja i pierwszym dniem prawosławnej Wielkanocy. Chociaż wszelkie święta religijne były w Sojuszu zakazane, to tu w dalekiej południowej Syberii Rosjanie obchodzili je jako rosyjską tradycję. Przeważnie w każdej ziemiance była zawieszona ikona ozdobiona haftowanymi długimi ręcznikami. Ponieważ zbliżał się okres żniw, obowiązkowo do prac polowych zmuszano wszystkich, a nawet dzieci, które ukończyły dziesięć lat. Dziwołagiem w karnym kodeksie bolszewickim był artykuł, który zezwalał wydawać wyroki już na dwunastoletnie dzieci. Oczywiście, dzieci wykonywały w polu prace pomocnicze, jak plewienie buraków i ziemniaków oraz przy sianokosach i zwózce zboża.

Pierwszą swoją pracę rozpocząłem od obsypywania ziemniaków bardzo ciężką „haczką”. Po takiej pracy nie czułem ani rąk, ani nóg. Lżejsza była praca przy zgarnianiu siana drewnianymi grabiami w koparce. Z zaciekawieniem przyglądałem się kombajnom zbożowym, które widziałem po raz pierwszy w życiu, dziwnym traktorom na stalowych kołach zakończonych ostrymi zębami, żniwiarkom zwanym „Łabagrejkami”. Ponieważ lato w południowej Syberii trwa bardzo krótko, dlatego w czasie żniw zboże koszone jak siano i układano w stogi, żeby w okresie zimy można było młócić. Uprawiano przeważnie pszenicę, żyto, proso, a z roślin: słonecznik, ziemniaki i buraki pastewne. Przy wykopkach ziemniaków nie stosowano żadnej mechanizacji. Mężczyźni i kobiety wykopywali łopatami ziemniaki, a przeważnie dzieci zbierały je do wiader i sypały na kopce. Wszystkie prace polowe wykonywano od świtu do zmierzchu. Dorośli pracowali na okrągło, dzień i noc. Na pole przywożono posiłki w postaci chleba i mleka lub jakiejś zalewajki. Za wykonywaną pracę rozliczano dorosłych tak zwanymi „trudodniami” (robocznodniówkami), dzieciom nic nie naliczano. Stosowano tu dosłownie leninowską zasadę: „kto nie pracuje, ten nie je” (nawet dzieci).

Każdy kołchoźnik miał przydzieloną półhektarową działkę, na której przeważnie sadił ziemniaki i trochę warzyw oraz tytoń. Żadnego zboża nie wolno było uprawiać. Wolno mu było trzymać jedną krowę, jednego cielaka, dwie świnie, pięć owiec, no i kury i gęsi. Z każdego zabitego zwierzęcia musiał oddawać kołchozowi skórę, nawet ze świni. Do roku 1941, to znaczy do wybuchu wojny niemiecko-bolszewickiej, mieszkańcy kołchozu żyli sobie dość dobrze, bo mieli co jeść. Wybuch wojny spowodował, że z kołchozu zabrano do wojska wszystkich mężczyzn w wieku od osiemnastego roku życia do sześćdziesiątego. Zabrano wszystkie zdrowe konie i opróżniono ze zboża wszystkie magazyny zbożowe. Widmo głodu rysowało się przed oczyma Polaków, bo przecież żadnej działki uprawnej nie mieli, a w kołchozie niewiele mogli liczyć, że za wykonaną pracę dostaną trochę zboża czy ziemniaków.

Pierwsza zima pobytu na zesłaniu upłynęła w miarę spokojnie, chociaż mrozy były duże i zamiecie niesamowite. Po żniwach i wykopkach w 1941 roku nikt nic nie dostał za wykonaną pracę. Wszystkie zbiory z pola były zwożone do magazynów, a stamtąd zabierały je przyjeżdżające z Presnowki (powiat) samochody. W tym roku zacząłem wozić zboże od kombajnu do magazynu. Miałem wóz skrzyniowy zaprzężony w dwa wychudzone byki i tak w ciągu dnia po kilka razy kursowałem tam i z powrotem. Z kombajnu zboże sypano bezpośrednio do skrzyni, a w magazynie trzeba było rozładować za pomocą drewnianej łopaty. Ile w ciągu dnia przerzuciłem tam zboża jako jedenastoletni chłopak, trudno było wyliczyć. Po takiej całodzienniej harówce zmęczenie było okropne. Jediną pociechą było to, że po skończonej zwózce mogłem po kryjomu wynieść ze skrzyni trochę zboża i napełnić kieszenie. Musiałem to robić bardzo ostrożnie, bo gdyby mnie przy tym przyłapano, to groził mi sowiecki poprawczak. Ale dzięki Bogu jakoś ten proceder się udawał. Wieczorem można było zboże zemleć na żarnach i upiec jakieś placki lub ugotować zacierkę.

Zima tego roku nadeszła dość szybko i wszystkich zaskoczyła, szczególnie nas Polaków, olbrzymimi opadami śniegu i rześnistym mrozem, dochodzącym do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza. W okresie zimowym, kiedy większą część dnia spędzałem w ziemiance, matka udzielała mi lekcji z języka polskiego i rosyjskiego oraz matematyki. Według jej słów byłem uczniem dość zdolnym i szybko nauczyłem się pisać i czytać po rosyjsku. Język polski miałem dość dobrze opanowany, ale żeby go nie zapomnieć, matka dyktowała mi z pamięci różne wiersze lub opowiadała bajki, a ja to wszystko musiałem pisać.

Jediną polską książkę, którą można było czytać, stanowiła książeczka do nabożeństwa, bo nikt z Polaków na zesłanie nie zabierał żadnych polskich książek. Ponadto codzienna modlitwa poranna i wieczorna w języku polskim pozwalała utrwać mowę ojczystą.

W kołchozie była mleczarnia, gdzie odwirowywano z mleka śmietanę, a z odtłuszczonego mleka produkowano kazeinę. W mleczarni wybudowany był dość duży piec, w który wmurowany był olbrzymi kocioł napełniony wodą. Do tej wody wstawiało się bańki z mlekiem celem podgrzania do odpowiedniej temperatury, aby dokładnie można było odwirować śmietanę. Codziennie chodziłem do tej mleczarni. Rąbałem drewno, paliłem pod kotłem, a często wirówką odwirowywałem śmietanę. Za wykonywaną pracę dostawałem parę litrów serwatki i mogłem napić się mleka, a po skończonej pracy poobliżywać ze śmietany wyjęte z wirówki talerzyki, potem zaś dokładnie wymyć. Jeżeli w domu były ziemniaki, to serwatka smakowała jak najlepsza śmietana.

Żeby zdobyć trochę ziemniaków i pszenicy, matka z dwiema siostrami haftowała poszewki na poduszki dla Rosjanek i wyszywały różne wzory na długich ręcznikach. Mój brat, starszy ode mnie o trzy lata, wpadł na pomysł, żeby z sowieckich kopiejek wyrabiać pierścionki i krzyżyki. Zdobył kawałek szyny, która zastępowała nam kowadło, młotek, przecinak, pilnik i przebijak. Warsztat był gotowy. Wykonane pierścionki i krzyżyki wymienialiśmy przeważnie na ziemniaki, a czasem dostawaliśmy parę garści prosa lub pszenicy. Doszliśmy do takiej wprawy, że każdy następny wyrób był doskonalszy.

W okresie zimowym moim i brata obowiązkiem było dostarczanie do domu drewna na opał. Braлиśmy wówczas siekiery i nie zważając ani na mróz, ani na śnieżycę szliśmy do lasu, aby ściąć brzoze, potem przyciągnąć do domu i popiłować na wymiarowe kloce. Ręce z mrozu po prostu nam kostniały, a nóg w ogóle się nie czuło. Z takiej wyprawy wracałem z płaczem, z bólu nie mogłem wytrzymać. Matka nacierała mi ręce i nogi śniegiem, aby nieco złagodzić ból, zabieg ten zawsze pomagał. Takich wypraw do lasu w czasie zimy było sporo. Często trzeba było zaopatrzyć w drewno kogoś z Rosjan, za taką pracę dostawaliśmy zawsze trochę chleba lub ziemniaków. Na tym odludziu nikt nikomu za darmo nic nie dawał, za wszystko trzeba było płacić pracą, często ponad siły. Pocieszeniem zawsze było to, że po takiej pracy można było wleźć na piec i ogrzać przemęczone ciało. Oprócz głodu zaczęły nam dokuczać wszelkiego rodzaju insekty – wszy, karaluchy i pluskwy stały się plagą nie do zniesienia. Wszędzie ich było pełno i nie było żadnego sposobu, żeby je wyniszczyć. Najgorsze były noce, kiedy karaluchy z sufitu spadały na twarz, a pluskwy laziły wszędzie jak szarańcza. Najgorzej było z wszami, bo te były zarówno w pościeli, jak i w ubraniu, i w głowie, a nawet na brwiach. Mydła nie było, a jedynym środkiem stosowanym do mycia był popiół z brzozy. Rozpuszczony w gorącej wodzie czynił ją miękką. W tej wodzie prano bieliznę i w niej też się kąpano. Jediną w kołchozie bania rosyjska była najczęściej odwiedzana przez Polaków.

Rosjanie już od dawna przyzwyczaili się do takich warunków i to ich nie raziło. Rzadko mieli grzebienie i często jedni od drugich je pożyczali, żeby wyczesywać wszy.

I znowu brat wpadł na pomysł (on miał pomysły), żeby wyrabiać grzebienie z bydłych rogów. Nacinaliśmy trochę rogów, gotowaliśmy je kilka godzin, a następnie młotkiem rozbijaliśmy na cienkie płytki, nacinaliśmy nożem ząbki i po ogólnej obróbce grzebienie były gotowe. Oczywiście zaraz wymienialiśmy je na żywność z Rosjanami. Był to bardzo dobry pomysł. Wyrób igieł do szycia też był ważnym, doskonałym pomysłem i sposobem na zdobycie żywności.

Okres zimowy zawsze sprzyjał uczeniu się czegoś nowego, a do tego wszystkiego mobilizował zawsze nieustający głód. Wykonywałem wszystkie prace, za które mogłem coś otrzymać z żywności, a więc

odśnieżałem, nosiłem wodę ze studni na drewnianym pałaku ułożonym na ramionach. Taki pałak, zwany koromysłem, obciążony dwoma wiadrami wody wpijał się w barki jak drut kolczasty. Po takiej pracy miało się wszystkiego dosyć.

Dzięki matce nauczyłem się dobrze czytać po rosyjsku, nawet lepiej aniżeli moi rosyjscy rówieśnicy. Jakieś książki do czytania mogłem zdobyć jedynie u weterynarza Puzyrowa. Całą jego niewielką bibliotekę potrafiłem przeczytać nawet kilkakrotnie. Czytałem Puszkina, Lermontowa, Gogola, Dostojewskiego i Tołstoja. Przeważnie czytałem na głos w rodzinie Gopcowych, gdzie było dwoje dzieci w moim wieku – córka Wala i syn Tola. Na takie wieczorne czytanie przy „kopciołce” przychodziły inne dzieci. Moja znajomość języka rosyjskiego wzbudzała szczególne do mnie zaufanie nie tylko wśród rówieśników, ale i wśród dorosłych Rosjan. Nawet przyłgnęło do mnie przewisko – „mudryj Jożik” (mądry Jeżyk). Jeżyk – z uwagi na to, że zawsze kurczyłem się z zimna, a mądry – ze względu na moje wiadomości. Ponieważ Gopcow był szewcem i szył buty z cholewami, zacząłem przy nim uczyć się zawodu szewskiego. Robiłem drewniane gwoździe, tak zwane szpilki, i nici z włókna konopii lub dratew. Nauczyłem się szyć cholewki i przybijać spody. Po kilkumiesięcznej praktyce potrafiłem już samodzielnie uszyć sobie buty z cholewami. Wprawdzie długo w tych butach nie chodziłem, bo musiałem dać bratu Edwardowi, który przybył do nas z łagru w kapciach i po krótkim pobycie wyruszył do Armii Andersa właśnie w moich butach.

Trwająca wojna sowiecko-niemiecka przyczyniła się do tego, że nawet Rosjanie zaczęli głodować. Tylko jakoś sobie z głodem radzili.

Po kilku zmianach miejsc zamieszkania usadowiliśmy się w końcu u Wronowej, która mieszkała z dwoma synami. Pożycie nasze było zgodne i układało się dobrze. Taką jaśniejszą osobistością w Sowługu była Wasilisa Mielnikowa, zwana popularnie „babuszką Wasiuną”. Była to kobieta 60-letnia, uczestniczyła w konnej armii Budionnego i coś niecoś słyszała o Polsce. Nie umiała czytać i pisać, a zajmowała się wyłącznie hodowlą królików. Miała ich duże stadko, w związku z czym trzeba było przygotowywać dla nich sporo pokarmu. Tak się złożyło, że stałem się stałym bywalcem „babuszki Wasiuni”, a potem głównym hodowcą królików. Nauczyłem się posługiwać kosą, żeby kosić trawę. Uprawiałem tytoń i przygotowywałem machorkę i „kareszki”, bo babuszka była jedyną kobietą w kolchozie, która paliła papierosy. Zwijała z gazety stożkowy rulonik, wsypywała do niego „kareszki” i tak paliła. W okresie zimowym dokonywałem uboju królików, ściągałem skórki. Po wysuszeniu na drewnianych palikach wyprawiałem je za pomocą kwaszonego zacieru, sporządzonego z żytniej mąki. Oczywiście wszystkie jelita królicze przeznaczone były dla mnie. Sporządzałem z nich zupę, coś w rodzaju flaków. Bawiłem się również w weterynarza, bo „babuszka Wasiunia” miała dużo samców, które trzeba było kastrować. Za pomocą ostrego scyzoryka nacinałem błonę i wycinałem jądra. Doszedłem do bardzo dużej wprawy. Za swoją pomoc w hodowli dostałem dla siebie parę królików. Po jakimś czasie, gdy się rozmnożyły, miałem ich około piętnastu. Przyszło jednak nieszczęście. Ulewny deszcz zalał zagrodę i wszystkie się potopiły. Przez cały dzień płakałem, a potem musiałem ściągać skórki i patroszyć. Co prawda było na jakiś czas co jeść, bo mięso królicze nawet padnięte smakowało całej rodzinie, ale żal po stracie pozostał.

Książki, o których wspominałem, musiałem też czytać w wolnych chwilach dla „babuszki Wasiuni”. Praktycznie cały okres zimowy na okrągło miałem pracę i zajęcie w różnych zawodach. Najcięższe chwile przeżywałem, gdy przyszło mi iść z 16-kilogramowym workiem pszenicy na plecach do wiatracznego młyna, który stał poza kolchozem na niewielkim wzniesieniu. Oczywiście młyn pracował wtedy, kiedy były silne wiatry, a więc „burany” i zawieje. Brnąłem po kolana w śniegu, z ciężarem na plecach, wśród zamieci. Nieraz po prostu nic nie było widać. Szło się na odgłos skrzypiących skrzydeł wiatraka. Droga powrotna taka sama – śnieg i mróz, a do tego walący z nóg wiatr ze śniegiem. Pocięciem była zdobyta porcja mąki, którą dostawałem od gospodarza. Przyniesiona do domu zaraz była zagospodarowywana przez matkę. Placki, sporządzone na samej wodzie i upieczone bezpośrednio na fajerkach, smakowały jak najlepsze ciasto. Był też taki okres, kiedy głód tak dokuczał, że myślało się o zupełnym zagłodzeniu. Nawet „babuszka Wasiunia” nie mogła mi nic pomóc. Poradziła, aby iść do kolchoźników, którzy jeszcze jako tako dawali sobie radę, i prosić o kawałek chleba lub parę ziemniaków. Nauczyła mnie, jak mam prosić: Padajcie miłaściu Christa radzi (Dajcie jałmużnę radzi Chrystusowi). Z płaczem i ze wstydem odwiedzałem niektórych Rosjan, prosząc o żywność. Zawsze trochę się uzbierało i można było poratować całą rodzinę.

Każda nadchodząca zima przynosiła na zesłaniu nieopisane głodowe życie i ciężką pracę w mroźnych i śnieżnych warunkach. Ileż to razy matka ze starszą siostrą Łodzią musiały wędrować po śnieżnym stepie do Pietuchowa czy Presnowki, żeby dokonać wymiany jakiejś odzieży na mąkę. Srebrny kornet – pamiątka po ojcu – został wymieniony na pud pszenicy. Cztery złote krzyżki z łańcuszkami, pamiątki Pierwszej Komunii, zamieniono na mąkę. W taki sam sposób matka pozbyła się złotych kolczyków i pierścionka, a w najbardziej krytycznej sytuacji wymieniła na mąkę kilim, który dotychczas służył całej rodzinie jako kołdra.

Nastanie wiosny zawsze napawało radością i nadzieją, że niedługo skończy się nasza udręka, ale była to tylko nadzieja. Z tą nadzieją żyliśmy i to dawało nam siły do przetrwania. Ta ziemia syberyjska, określana jako „ziemia nieludzka”, w okresie wiosny i lata stawała się ziemią żywicielką. Wyruszałem z workiem na rozmokłe pola i wygrzebywałem z ziemi zamrożone ziemniaki, które po ugotowaniu były czarne jak węgiel. Kiedy pola opustoszały ze śniegu i pokazały się rżyska po skoszonych zbożach, zbierałem kłosa, które suszyłem, wyłuskiwałem zboże i mielilem na żarnach, żeby otrzymać mąkę. Wiosna przynosiła pożywienie – zbierałem pokrzywę i lebiodę na zupę, a czomber na herbatę. W rejonie naszego kołchozu były dwa jeziora. Jedno, Łabanowo, było prawie martwe – zarośnięte trzciną, a w wodzie żadnej ryby. Drugie, Czyścimir, obfitowało w dość duże ilości drobnych ryb – przeważnie karasi – i gromadziło w swoich szuwarach sporą ilość wodnego ptactwa. Gnieździły się tam łyski, nurki i dzikie kaczki. Wędrowałem po zimnej wodzie bosy i poszukiwałem ptasich jaj. Jeżeli udało mi się trochę nazbierać, to pożywienie było dla całej rodziny. Często w znalezionych gniazdach, gdzie już były jaja zapłodnione, ustawiało się w sposób zamaskowany „kapkany” (metalowe sprężynujące szczęki), w które od czasu do czasu dało się złapać jakiegoś ptaka. Nie gardziłem też jajami wrony czy sroki, a wieczorem w oborze łapałem wróble i z nich przyrządzaliśmy coś w rodzaju rosółu. Przysmakiem też były jeże. Złapanego jeża wrzucało się do pieca i żywcem opalało się z kolców, a następnie patroszyło. Mięso jeża, podobne do mięsa z dzika, przerośnięte było tłuszczem. Zdechłego konia, którego wywieziono poza „pasiołek” i zakopano w dole, odkopaliśmy w nocy i wycinaliśmy kawałki mięsa, ażeby w domu matka mogła coś z tego mięsa ugotować. Zdarzały się też takie przypadki, kiedy napotykałiśmy wilka, który upolował dziką kozę i pożerał wnętrzności. Wówczas grupa wyrostków ruszała z widłami, krzycząc i gwizdząc, żeby odgonić wilka. Wystraszony wilk pozostawiał ofiarę, a my zabieraliśmy resztki mięsa i dzieliliśmy się między sobą.

Nad brzegiem jeziora Czyścimir znajdowała się zniszczona łódka, którą z bratem polataliśmy i zaczęliśmy pływać po jeziorze. Właścicielem tej łódki był Mielników, który miał niewidomą żonę. Swego czasu łowił ryby siecią i „morduszkami” (kosze plecione z wikliny z podwójną gardzielą). Był już w podeszłym wieku i strasznie dziwakiem. Wykonał trumnę drewnianą, w której spał. Nauczył nas wiązać sieci z nici sporządzone z włókna konopi oraz wykonywać „morduszki” z wikliny. Dostępnym nauczyłem się robić i sieci, i „morduszki”, a także ustawiać je na jeziorze przeważnie na noc. Rano, gdy się przyplęnęło łódką pod ustawione sieci i „morduszki”, widać było, że w nich jest ryba. Złowioną rybę przeważnie gotowano, a że była drobna, jadło się ją z ościami. Plagą w okresie lata były komary i olbrzymie bąki, które strasznie dokuczały, szczególnie bydłu. Zdarzało się tak, że ugryziony przez bąka byk dostawał szau i gonił na złamanie karku, ciągnąc za sobą wóz, który w końcu rozwalił gdzieś na drzewie. Z komarami walczyło się, odganiając od siebie brzożową miotełką i rozpalaniem ogniska wysuszonym łajnem bydlęcym. Ze wszystkiego, czym natura obdarzyła południową Syberię to było najgorsze, że z plagą wszy, pluskiew, karakonów (karaluchów), bąków i komarów nie było czym walczyć. Nie było żadnych środków ani sposobów na ich likwidację. Wszystko było tylko półśrodkami.

Rosjanie pomimo tego, że władze zabraniały prowadzić obrzędy religijne, świętowali na swój sposób Boże Narodzenie, Wielkanoc, obchodzili Dzień Zaduszných, a zmarłym stawiali krzyże. W czasie prawosławnych świąt Bożego Narodzenia chodziliśmy z bratem po domach z gwiazdką i śpiewaliśmy nauczoną rosyjską kolędę – „Rożestwo twoje Christo Boże nasz”, a podczas Wielkanocy pozdrawialiśmy słowami „Christos Woskres” (Chrystus Zmartwychwstał). Z takich wędrowek zawsze zbieraliśmy sporo żywności. Zwyczajem prawosławnych jest przynoszenie na cmentarz pożywienia w dniu zmarłych. Korzystaliśmy z tego zwyczaju i wieczorem zbieraliśmy z grobów chleb, jajka i „lepieszki”. Każdy pogrzeb też był okazją do korzystania z przygotowanych posiłków stypowych. Na stypach gromadzili się wszyscy mieszkańcy kołchozu. Nieraz jadła było sporo, a nieraz tylko kawałek jakiejś „lepieszki”.

Wspominałem, jak nauczyłem się szyć buty z cholewami, ale podstawowym obuwiem zimowym były „pimy” (walonki). Tak jak wszystko, trzeba było „pimy” wyrabiać własnym sposobem. Przypadek sprawił, że ten zawód zdołałem opanować. Pewien Rosjanin, który wyrabiał „pimy”, był chory na gruźlicę i potrzebował jako środka leczniczego psiego tłuszczu. Zapropował mnie i bratu, żeby dostarczyć mu tego tłuszczu. Pod osłoną nocy złapaliśmy psa i po prostu udusiliśmy go. Wyjęliśmy tłuszcz, a zwłoki zakopaliśmy. Właściciel psa był przekonany, że pies padł łupem wilków. Za dostarczony tłuszcz dostaliśmy używane „pimy”. Była to bardzo przydatna zdobycz, szczególnie w okresie zimowym. Przy tej okazji miałem możliwość nauczyć się produkować „pimy”. Rozkładało się na stole wełnę i rozdrabniało się ją za pomocą struny baraniej, przymocowanej do pałaka. Rozdrobnioną wełnę układało się na drewnianych kopytach odpowiednimi warstwami i polewało gorącą wodą. Wełna filcowała się i dokładnie przylegała do kopyta. Uformowane „pimy” wkładało się do gorącego pieca w celu dokładnego sfilcowania, następnie opalało się owłosienie i „pimy” były gotowe.

Okres lata syberyjskiego to okres życiodajny. W lasach pojawiły się grzyby i jagody – „kościeniga” (w smaku przypominające nasze porzeczki), a na polach poziomki. W wolnym czasie, kiedy nie pracowałem w polu, wyruszałem na zbiór runa leśnego. Zresztą to był mój obowiązek, bo starsze rodzeństwo musiało pracować w polu. Podczas leśnych wędrowek pragnienie gasiłem sokiem brzożowym. Naci-

nałem nożem korę i ssałem sok bezpośrednio z drzewa. Uzbierane grzyby i jagody były podstawowym środkiem spożywczym w lecie. Odczuwało się systematyczny brak soli, bo nie było jej gdzie kupić. Od czasu do czasu organizowało się wyprawę nad słone jezioro, odległe o 16 kilometrów od naszego kolchozu. Jeżeli była pogoda, to na brzegu jeziora można było zbierać trochę soli zmieszanej z piaskiem, a jeżeli pogody nie było, to brało się po prostu słoną wodę i transportowało w bańkach często na własnych plecach. Innym moim zajęciem była produkcja węgla drzewnego. Trzeba było w lesie napiliować odpowiednią liczbę pni brzoźowych, wózkiem przewieźć do kolchozu, ustawić stożkowo i podpalić. Gdy drewno dobrze się rozpałiło, trzeba było nasypać ziemi, żeby ograniczyć dostęp tlenu. W ten sposób tłące się drewno bez dostępu powietrza zamieniało się w węgiel. Przy tej okazji z kolców ściągano się białą korę brzoźową, z której wyrabiano się „żwaczkę” (guma do żucia – czarna jak węgiel). Korę z odrobiną masła topiło się w garnku. Otrzymana substancja była doskonałym środkiem czyszczącym zęby. Przez jakiś czas byłem niańką 4-letniego chłopca, porażonego chorobą kończyn dolnych. Matka chłopca, Radionowa, była listonoszką i musiała codziennie chodzić na pocztę do odległej o 8 kilometrów Kładbinki, w związku z tym nie miała z kim zostawiać chłopca. Za opiekę dostawałem wyżywienie i trochę ziemniaków do domu. Wieczorami w wolnych chwilach uczyłem się u „babuski Wasiuni” prząść wełnę i bawełnę na wrzecionie i na nożnym kołowrotku. Nauczyłem się też z wyrobionych nici robić na drutach skarpety.

Udręką mojej rodziny było to, że często wzywano matkę do NKWD w Presnowce, żeby podpisać obywatelstwo białoruskie. Po każdej odmowie straszono, że jako „bieżeńcy” zginiemy z głodu i chłodu, bo do Polski nigdy nie wrócimy. Po takich rozmowach matka zawsze była załamana psychicznie, ale pocieszało ją to, że nie ulegała pokusom NKWD. Pretekstem do aresztowania 17-letniej siostry był list, który napisała do koleżanki w Karagandzie. NKWD dopatrzyło się w tym liście zwrotów, które wydały im się podejrzane. Przesłuchiwali ją w Presnowce kilka dni, żeby się przyznała do tego, że list zawierał antysowieckie fragmenty. Dzięki interwencji i prośbie matki siostrę wypuszczono.

Wspominałem na wstępie, że nasza „Polonia syberyjska” liczyła początkowo ponad 30 osób i składała się z siedmiu rodzin: p. Kozakowa – 3 osoby, p. Majowa – 4 osoby, p. Nowakowscy – 5 osób, p. Tubilewicz – 4 osoby, p. Wutke – 5 osób, p. Kołajda – 2 osoby i moja rodzina – 5 osób. Nowakowscy zostali przesiedleni do Karagandy, a pani Kołajda zmarła na śmierć, wędrując za chlebem podczas ostrej zimy. Jej 12-letni syn został zabrany do „Dietdoma” (dom dziecka). Niewielka grupa Polaków nie zapomniała języka polskiego i polskich tradycji narodowych i religijnych. W każdą niedzielę i w każde polskie święto Polacy wyruszali do lasu, gdzie po kryjomu odmawiali modlitwy i czytali mszę świętą. Książeczkę do nabożeństwa miała pani Wutkowa i ona też była główną katechetką w naszym osiedlu. Oczywiście takie spotkania miały miejsce jedynie w okresie wiosenno-letnim. Opisałem praktycznie całą moją edukację syberyjską, która pozwoliła mi samodzielnie nauczyć się wykonywania wielu prac, co w normalnym życiu nie mogło się zdarzyć. Zmuszały mnie do tego warunki. Musiałem być samodzielny i w jakiś sposób pomóc swojej rodzinie w dostarczaniu żywności. Biorąc pod uwagę wiek, potrafiłem nieraz ponad siły wykonywać bardzo ciężką pracę. Wiek 12-14 lat, bo w tych latach najwięcej pracowałem, zapisał się w mojej pamięci jako wiek dorosłego mężczyzny. Opisane prace wykonywałem okresowo lub częściowo, ale zawsze z myślą, żeby nie zginąć śmiercią głodową. Podstawową pracą, którą wykonywałem przez okres dwóch lat, oczywiście w porze wiosenno-letniej, było pasterstwo. Byłem po prostu typowym syberyjskim pastuchem z polskim rodowodem.

Początkowo zajmowałem się wypasaniem gęsi i świń, będących własnością kolchoźników. Każdy kolchoźnik dostarczał żywność w postaci mleka, ziemniaków, czasem trochę mąki. Stado gęsi składało się z 20 sztuk, a świń – 15 sztuk. Szczególnie niewdzięczny był wypas świń, które nie były przyzwyczajone chodzić w stadzie. W ciągu dnia musiałem nabiegać się do tego stopnia, że wieczorem nie mogłem w ogóle się ruszać. Wszystko mnie bolało, a stopy piekły, jakby obłożone były gorącym węglem, len wypas nie trwał długo – matka zawarła słowną umowę z kolchoźnikami, że podejmiemy się letniego wypasu cieląt. Oczywiście wynagrodzenie ustalono w naturze – ziemniaki, mleko i mąka w odpowiedniej ilości od każdego cielaka. Wypas cieląt rozpoczynał się ze wschodem słońca, a kończył, gdy słońce kończyło swoją wędrówkę po niebie. Matka rano zbierała wszystkie cielaki do stada i wyprowadzała na pastwisko. Ja z bratem musieliśmy wstawać bardzo wcześnie i zmieniać matkę, która szła do pracy w polu. Wszystkie poranki były zimne, a poranna rosa paraliżowała bose nogi. Dochodziłem do siebie dopiero wtedy, gdy słońce ogrzało ziemię. Bardzo trudno było, szczególnie w początkowym okresie, utrzymać stado w grupie. Cielaki rozbiegały się, więc bez przerwy musiałem je pilnować. Spokojniej już było w środku lata, gdy stado było przyzwyczajone do wspólnego wypasu, wówczas mogłem zapolować na chomiki czy świstaki, nabierać jakiegoś zielska do sporządzenia zupy. Czasami po kryjomu wykopało się kilka ziemniaków, jeżeli rosły w pobliżu, i upiekło w ognisku. Zdarzało się też, że w pobliżu pasły się krowy, więc ukradkiem udało mi się do garnuszka udoić trochę mleka. W porze obiadowej matka przynosiła nam na pastwisko zupę z lebiody lub pokrzywy. I tak całymi dniami wędrowałem z tymi cielakami po polach i stepach Kazachstanu. Po takich wędrówkach nogi miałem pokłute, a często występowały pod stopami bąble, tak że mogłem jedynie chodzić na

piętach. Łydki miałem pocięte rżyskiem zbożowym i ostrą trawą do tego stopnia, że krew leciała strumieniami. Wieczorem po skończonym wypasie matka za pomocą wywarów z różnych ziół doprowadzała moje nogi do względnie normalnego wyglądu. Pod koniec letniego wypasu stopy były twarde, jakby podszyte skórą, a na łydkach wytworzyła się skorupa, przypominająca narośl lub rdzę.

Na pastwisku każdy dzień był jednakowy. Wtedy kiedy padał deszcz, nakładałem na głowę worek, a cielaki zapędzałem do lasu pod drzewa. Często w pobliżu mojego stada pojawiały się wilki. Żeby je odstraszyć, gwizdałem, krzyczałem i uderzałem drążkiem w blaszany kubek, co skutkowało. Zdarzył się też dramatyczny wypadek.

Otóż pewnego dnia po przyprowadzeniu stada do kołchozu zabrakło jednego cielaka. Właścicielka cielaka narobiła szumu i powiadomiła „predsiedziela”, że „Palaczonki patierali tielonka”. Przez dwa dni i dwie noce cała moja rodzina była zajęta szukaniem cielaka po lasach. Strach ogarnął i mnie, i brata, bo jeżeli cielaka nie odnajdziemy, to grozi nam kara nawet sowieckiego poprawczaka. W czasie tych poszukiwań tyle się wyplakałem i tyle się wymodliłem, że wystarczyłoby to na kilka lat. Dzięki Bogu, po trzech dniach poszukiwań cielak odnalazł się w Kładbince. Po prostu obok stada przejeżdżała „cielega”, zaprzężona w krowę i cielak za tym wozem powędrował. Cała rodzina odetchnęła z ulgą. Nie zapomniałszy jeszcze o tym wydarzeniu, a tu nagle pojawiło się drugie, początkowo bardzo radosne. Odnajdujemy w stogu słomy cały worek pszenicy, około 30 kg. Widocznie robotnicy, którzy dokonywali wysiewu, „zaoszczędzili” sobie ten worek. Brat pobiegł po wiadro, a potem z napełnionym wiadrem pszenicy udał się do domu. Pech chciał, że spotkał po drodze brygadzystę. No i znowu nowe nieszczęście. Podejrzanego o kradzież brata zabrano do NKWD w Presnowce na przesłuchanie. Widocznie tłumaczenie brata, że pszenica została znaleziona, przekonało NKWD i brata wypuszczono. Całe szczęście, że to wszystko tak się skończyło. Pan Bóg czuwał nad nami i nas bronił. W okresie, kiedy cielaki nauczyły się paść w stadzie, na pastwisku pozostawałem sam. Brata zatrudniono do wożenia śmietany z kołchozowej mleczarni do mleczarni w Noworybince. Dwa razy w tygodniu odbywał taką podróż bykami, od czasu do czasu udawało mu się przywieźć do domu śmietanę. Woził z sobą nieduży czajnik z wodą, w lesie zatrzymywał się, wylewał wodę z czajnika i nalewał do niego śmietanę. Czajnik chował w lesie, a w drodze powrotnej zabierał i chował w sianie. Był to dobry zastrzyk tłuszczu w rodzinie. Tym razem wszystko mu się szczęśliwie udawało. Lato na pastwisku przebiegło monotonnie i jednostajnie. Najbardziej we znaki dawała się jesień. Często w przenikliwym zimnie musiałem, zawsze bosy, bo obuwia żadnego nie miałem, chodzić po pastwisku. Nieraz matka owijała mi nogi onucami, a na to nakładała korę brzoźową i wiązała sznurkiem. Zabieg ten łagodził trochę zmarznięte nogi. Były przypadki, kiedy zaczął padać gęsty śnieg, a ja na pastwisku bosy. Wówczas, nie zwracając uwagi na urąganie kołchoźników, przyprowadzałem cielaki do kołchozu. Zdrętwiałe nogi wkładałem do zimnej wody i w nieustającym płaczu czekałem, aż ustąpi piekielny ból. Północny Kazachstan zamieszkiwała przeważnie ludność rosyjskojęzyczna. W naszej okolicy były tylko dwa aule: „Oktiabr” i „Leninsk”, które zamieszkiwali Kazachowie. W roku 1944 dokoptowano do naszego kołchozu nową grupę etniczną, wywiezioną z Kaukazu – Czeceńców. Byli dość dobrze ubrani i przywieźli ze sobą sporo worków mąki kukurydzianej, z której wypiekali placki i gotowali zalewajki. Mieli swoją własną kulturę i muzułmańską religię. Byli narodem zawziętym, upartym, mściwym i nader skąpym. Szczególnie utkwił mi w pamięci ich sposób modlenia się podczas zachodu słońca. Każdy Czeceńiec od najmniejszego dziecka do siwiejącego starca podczas załatwiania potrzeb fizjologicznych posługiwał się metalową amforą napełnioną wodą – zamiast papieru toaletowego. Właśnie w końcowym moim pobycie na zesłaniu przyszło mi wspólnie z Czeceńcem o imieniu Kanta prowadzić wypas stada owiec. Był bardzo leniwym i niekoleżeńskim pastuchem, ale dość odważnym. Mieliśmy taką sytuację kiedy nasze stado owiec zaatakowały dwa potężne wilki. Wilki, kiedy wpadały do stada, dusiły owce, wygryzały gardła, a następnie jedną ofiarę ciągnęły do lasu. Strachu najedliśmy się co niemiara, bo Kanta chwycił uprowadzoną przez wilka owcę za wełnę, a napastnika okładał kijem. Do dziś nie rozumiem, że wilk nie rzucił się na Czeceńca, ale owcę puścił. Po naszej nagonce wilki uciekły do lasu, ale po skończonym wypasie do kołchozu przywieźliśmy sześć uduuszonych owiec. Przywiezionym Czeceńcom władze kołchozu od razu nakazały budować ziemianki. Naród ten, koczujący w górach i zajmujący się wyłącznie wypasem koni i owiec oraz uprawą kukurydzy, nie potrafił budować ziemianek, więc przydzielono im rosyjskich i polskich pracowników, którzy nadzorowali te prace. Do wybudowania pieców używano cegły wyprodukowanej systemem chałupniczym. W tym celu kopano głęboki dół, aż do wystąpienia pokładu gliny. Wlewało się wodę i mieszało bosymi nogami. Do tej pracy byłem zatrudniony jako mieszacz. W dole było nas czterech wyrostków i tak godzinami mieszałyśmy tę glinę, aż była na tyle plastyczna, że można ją było wkładać do form, a następnie suszyć na słońcu. Ostatnim etapem było wypalanie cegły w piecu chlebowym. W ten sposób zdobyłem jeszcze jeden zawód – wytwórcy cegły. Sześciolatek okres zesłania, w którym przyszło mi wykonywać różne prace i zawody, zmienił moją psychikę chłopięcą, kształtował charakter, był szkołą przetrwania i przeżycia. Wszelkie upokorzenia, zniewagi, głód i chłód przeżywałem jak dorosły mężczyzna. Dzięki mamie zachowałem osobowość polską i język ojczysty. Nie utraciłem nigdy wiary w Boga, a nadzieja powrotu do Polski,

która towarzyszyła mi przez cały okres zesłania, została spełniona w 1946. Tak oto od 1940 do 1946 roku w warunkach bardzo ciężkich przepracowałem tysiąc godzin przy różnych zajęciach, nie otrzymując w zamian ani jednej kopiejki. Jedynym wynagrodzeniem była często miska zalewajki lub parę ziemniaków w lupinach. Przeżycie ciężkich lat zesłania to przede wszystkim sprawa Opatrzności. Tam wśród stepów spotkaliśmy wielu przyjaznych nam ludzi. To Rosjanie sami zniewoleni przez reżim bolszewicki wyciągali do nas pomocną dłoń. Sami, cierpiąc głód i niedostatek, dzielili się z nami kawałkiem chleba, nieraz ostatnim, szczyptą ziarna i resztkami kartofli. Moje proszalne wędrówki do rosyjskich ziemianek spotykały się z dobrocią i do dzisiaj wspominam kawałki czarnego razowca, którymi mnie obdarowywano. Dobrodusność „babuszki Wasiuni” zachowałem w pamięci. Pamiętam serdeczność Grafiny Woronowej, u której mieszkaliśmy, dobroć rodziny Bykówów, Radionowów, Gopcowych i Czebatariowych. Wspominam je ze wzruszeniem i wdzięcznością. A gdy opuszczaliśmy „gościnną ziemię radziecką”, cała ludność kołchozu, w którym pracowaliśmy, odprowadzała nas daleko poza rogatki osady. Żegnano nas ze łzami w oczach, życząc szczęśliwej drogi. Dzięki im za to, a Tobie Matko Boska dzięki, żeś Nas zachowała przy życiu i doprowadziła na Ojczyzny łono!

Tutaj muszę oddać szczególny hołd mojej matce, która przeżyła w Petersburgu rewolucję 1905 i 1917 roku, wojnę domową w Rosji 1918 roku oraz zesłanie na Sybir. Podziękować za to, że szczególnie na zesłaniu potrafiła uratować czworo dzieci przed głodem i chłodem, zachować wiarę w Boga i przywiązanie do polskości, zachowując w domu język polski. Jej żelazna konsekwencja w wychowaniu dzieci w duchu polskości i pobożności pozwoliła przetrwać głód, chłód, upokorzenie i poniewierkę, a często znieważenie i poniżenie. Dziś z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że przetrwanie tego zesłania zawdzięczamy drewnianemu krzyżowi, wyrzuconemu ze szkoły przez bolszewików w 1939 roku, który matka znalazła na śmietniku i 13 kwietnia 1940 roku zabrała ze sobą na zesłanie, pomimo różnych przeszkód i trudności krzyż ten powrócił z nami do Polski i jest przechowywany w domu jako relikwia naszej rodziny. Ten znaleziony krzyż był dla nas ostoją, wsparciem, nadzieją na przetrwanie na wygnaniu.